

Boy-Żeleński – dramat bezkrytycznego racjonalisty. Rozmowa z Antonim Liberą

Największą zasługą Boya było tempo i skala jego dokonań. W niespełna 30 lat przyswoił on zasadniczy korpus literatury francuskiej, który do tej pory albo w ogóle nie istniał po polsku, albo istniał fragmentarycznie i w formie pozostawiającej pod każdym względem wiele do życzenia – mówi Antoni Libera w wywiadzie udzielonym „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Boy. Kultura na bieżąco”.

Mikołaj Rajkowski (Teologia Polityczna): Nakładem PIW-u ukazał się właśnie wybór tragedii Racine’a w pańskim przekładzie i opracowaniu. Zrywa pan w nim z tradycją oddawania aleksandrynu 13-zgłoskowcem, którego używali w tym wypadku wszyscy pana poprzednicy, włącznie z Boy-Żeleńskim, na rzecz 11-zgłoskowca. We wstępie do wspomnianego wydania zauważa pan, że dla osób znających francuski łatwiejszy w odbiorze bywa nieraz XVII-wieczny oryginał niż późniejsze przekłady, w tym nawet te z początku XX wieku. O nowe tłumaczenia kanonu literatury francuskiej, w imię czytelności i wierności oryginałowi, od lat upominają się krytycy przekładów Boya. Czy również w takich kategoriach postrzegał pan swoją pracę nad *Fedrą* i pozostałymi sztukami Racine’a?

Antoni Libera: W jakimś stopniu tak, aczkolwiek nie robiłem tego wszystkiego na zamówienie, a zwłaszcza „przeciw” Boyowi. Tłumaczyłem Racine’a *con amore*, bo bardzo wysoko cenię tego pisarza i uważam, że zasługuje on na żywą obecność w kulturze i teatrze, a niestety w ciągu ostatniego co najmniej półwiecza jego gwiazda wyraźnie przygasła. Zastanawiałem się, co jest tego przyczyną. Oczywiście najprostsza odpowiedź na to pytanie jest taka, że Racine po mniej więcej 250 latach atrakcyjności tak dla ludzi teatru, jak i dla widzów, zestarzał się w końcu, a powodem tej zapaści jest jego krystaliczna estetyka, która rozmija się z wrażliwością i mentalnością człowieka nowoczesnego, żyjącego w świecie zdegradowanym i chaotycznym. Ale to jest zaledwie hipoteza. Żeby ją zweryfikować, trzeba podjąć próbę odświeżenia dzieła Racine’a w języku, bo może chodzi tu tylko o ów filtr, niedostosowany do współczesnych standardów mowy.

Bez wsparcia ludzi takich jak Ty, nie mógłbyś czytać tego artykułu.

Prosimy, kliknij tutaj i przekaz darowiznę w dowolnej wysokości.

W każdym razie tego rodzaju próby podejmuje się w piśmiennictwie zachodnim, w którym już od bez mała stu lat powstają przekłady odchodzące na różne sposoby od dawnych wzorów klasycznych. Świetnym przykładem jest tu błyskotliwe tłumaczenie *Fedry* na angielski autorstwa poety Teda Hughesa, dokonane w 1998 roku, na krótko przed jego śmiercią. Hughes przełożył aleksandryn Racine’a nie tylko wierszem nierymowym, ale wręcz wolnym, zaledwie ze śladami rytmu i frazowania. Na podstawie tego przekładu powstały co najmniej dwie świetne inscenizacje tej sztuki: pierwsza w Almeida Theatre

Company, a druga w National Theatre z rewelacyjną kreacją Helen Mirren w roli tytułowej. I nagle okazało się, że martwa rzekomo *Fedra* gromadzi na widowni nieprzebrane tłumy. Przedstawienia nie schodziły z afisza przez wiele miesięcy.

Właśnie tego rodzaju idee i praktyki stały się dla mnie inspiracją i punktem odniesienia. „Ubrałem” Racine’a w nowy kostium językowy, przypominający trochę nowocześnie ułożonego – głównie przez Barańczaka i Piotra Kamińskiego – Szekspira, ale zachowującego swoją odrębność, polegającą na ogromnej ascezie wyrazu, fenomenalnej retoryce i nieskazitelnej elokwencji.

Chciałbym zastanowić się nad uniwersalnością projektu Boya. Przyswoił on polszczyźnie niemal dziesięć wieków francuskiej literatury, czy – mówiąc ściślej – francuskiego piśmiennictwa, wszak tłumaczył on nie tylko prozę i poezję, lecz również filozofów, pamiętnikarzy i epistolografów. W efekcie do dziś największych francuskich autorów poznajemy przede wszystkim za pośrednictwem jego przekładów. W jaki sposób zaważyło to na recepcji i interpretacji francuskiej klasyki w Polsce? Czy talent Boya pozwolił jej zapuścić głębiej korzenie w świadomości polskiego czytelnika?

Z pewnością. Zasługi Boya są nieocenione. Nie tylko liczba tłumaczonych autorów i tytułów jest imponująca, ale i jakość. Wiadomo przecież, jak to bywa z wydajnymi tłumaczami, nawet gdy doskonale znają oni język. Tempo pracy rzadko przekłada się na jakość, nawet u najlepszych. Tymczasem Boy nigdy nie schodził poniżej pewnego poziomu. A działało się tak dlatego, że sam – jako pisarz –

dysponował bardzo dobrym językiem. Miał, jak to się mówi, lekkie pióro i był świetnym stylistą. A więc ewentualne niedostatki nadrabiał własną swadą retoryczną i elokwencją. Największą zasługą Boya jest jednak to, że w relatywnie krótkim czasie przyswoił polszczyźnie ogromne połacie literatury francuskiej. To dzieło jest nie do przecenienia.

Największą zasługą Boya jest to, że w relatywnie krótkim czasie przyswoił polszczyźnie ogromne połacie literatury francuskiej. To dzieło jest nie do przecenienia

Po latach, gdy „pierwszy głód” został zaspokojony, gdy literatura francuska naprawdę solidnie istnieje po polsku, można pokusić się o udoskonalenie tego

stanu rzeczy. Czyli o tłumaczenia bardziej wyspecjalizowane. Inaczej przecież tłumaczy się Villona czy Rabelais’ego, inaczej Kartezjusza i Pascala, a jeszcze inaczej Musseta i Prousta. Autorzy ci wymagają od tłumaczy rozmaitych kwalifikacji, co nieraz łączy się innym temperamentem i wrażliwością estetyczną. Dobrze jest, jeśli dany autor znajdzie sobie tłumacza szczególnie nim zafascynowanego i mu oddanego. Takiego „powinowatego z wyboru”, który będzie nad nim siedział latami, aż stworzy wreszcie odpowiedni dla niego idiom w polszczyźnie. Wydaje mi się, że weszliśmy właśnie w taką epokę. Możemy sobie pozwolić na cyzelowanie dzieł klasyków, odpowiednio do natury ich pisarstwa. Moja lekcja Racine’a jest właśnie tego rodzaju próbą.

Zastanawiam się jednak, czy stylistyczny kunszt Boya, błyskotliwość jego języka i łatwość w operowaniu różnymi rejestrami, a więc największe atuty jego przekładów, nie naznaczyły zbyt silnie tłumaczonych przez niego utworów? Innymi słowy, czy pozwala czytelnikowi wyrobić sobie opinię na temat stylu Moliera, Montaigne'a, Prousta – przynajmniej w takim stopniu, w jakim jest to w ogóle możliwe za pośrednictwem przekładu?

Trudno na to pytanie odpowiedzieć. Boy rzeczywiście miał bardzo wyrazisty, łatwo rozpoznawalny język i jego cechy można dostrzec w przekładach różnych, nieraz odległych od siebie autorów. Nie jest to jednak jakaś istotna wada, tym bardziej, że on zawsze starał się różnicować styl w zależności przynajmniej od epoki. Być może nieco lepiej wychodzili mu autorzy bliżsi w czasie, głównie XIX-wieczni, ale Montaigne, Rousseau i Diderot także wyszli mu całkiem przyzwoicie. Wydaje mi się, że największą frajdę sprawiała mu praca nad dziełami w tonie rubasznym i frywolnym. Na przykład *Żywoty pań swawolnych* Brantôme'a w jego przekładzie do dziś cieszą się ogromnym powodzeniem.

Ale wracam do tego, co już powiedziałem: największą zasługą Boya było tempo i skala jego dokonań. W niespełna 30 lat przyswoił on zasadniczy korpus literatury francuskiej, który do tej pory albo w ogóle nie istniał po polsku, albo istniał fragmentarycznie i w formie pozostawiającej pod każdym względem wiele do życzenia.

Tak, to imponujące przedsięwzięcie zarówno pod względem artystycznym, jak i wydawniczym. W pewnym sensie nowoczesne, tak jak Boy jest w jakimś stopniu postacią emblematyczną dla polskiej nowoczesności: jako krytyk literacki, satyryk, publicysta (w tym kontekście interesujące jest jego upodobanie do archaizmów). Jak pan ocenia wpływ jego twórczości własnej na polską kulturę? Czy jest równie trwały i silny, jak jego przekładów?

Boy jako twórca oryginalny i swoista instytucja (ze względu na różnorodność zainteresowań i aktywności) nie jest postacią jednoznaczną. Do pewnego momentu jego ewidentna lewicowość czy, oględniej mówiąc, postępowość – głównie chodzi mi o sprawy obyczajowe i próby przewyciężenia takich lub innych fetyszy i anachronizmów post-zaborowych, czyli przedsięwzięcia w duchu Brzozowskiego, Witkacego i Gombrowicza – miała wiele zalet i była godna uznania. Z czasem jednak jego zapędy reformatorskie czy wręcz rewolucyjne poszły za daleko, co ostatecznie objawiło się po wkroczeniu Sowietów na ziemie wschodnie w 1939 roku. Niestety Boy w obliczu tego najazdu nie zachował nie tylko zdrowego rozsądku, którego można się było po nim spodziewać jako po zagorzałym racjoniście, lecz i przyzwoitości, ponieważ bez żadnych skrupułów poparł bolszewików, a następnie pracował w „Czerwonym Sztandarze” i wychwalał Związek Sowiecki, dziękując mu wręcz za wyzwolenie od reakcyjnej władzy „polskich panów”. To oczywiście kładzie się ogromnym cieniem na jego osobie i umyśle. No ale jednocześnie pamiętamy, że zaraz po ataku Hitlera na Rosję, dosłownie w dziesięć dni po zajęciu Lwowa, został rozstrzelany przez Niemców z całą grupą polskich inteligentów. Te wszystkie okoliczności uniemożliwiają jednoznaczną ocenę jego postawy i działalności. Jego „odchylenie

lewicowe”, które w momencie próby dziejowej zaprowadziło go do zaprzaństwa, budzi co najmniej nieufność i głęboki sprzeciw. Jego śmierć z rąk hitlerowców napawa grozą i współczuciem. Talent literacki – lekkość stylu, dowcip, tempo pracy – wzbudzają podziw i szacunek.

Tragizm jego losu polega na tym, że ostatnia faza jego życia przypadła na lata największej w dziejach katastrofy cywilizacyjnej. Stworzony był do innych warunków i wyborów, na co niezwykle trafnie zwrócił uwagę już u początku lat 30. Karol Irzykowski w pamiętnym pamflecie *Beniaminek*. Trudno podejrzewać Irzykowskiego o „czarną reakcję” czy choćby prawicowość. Był to umysł niezwykle świątły i również na swój sposób postępowy. W pewnym sensie był po tej samej stronie ideowej, co Boy-Żeleński. A jednak umiał dostrzec słabości umysłu i charakteru swego nominalnego sprzymierzeńca. Podobnie Witkacy. W swym krytycyzmie wobec polskiej „niemytej duszy” i tym podobnych zjawisk potrafił iść znacznie dalej niż Boy, a jednak jego odpowiedzią na inwazję Sowietów 17 września nie było entuzjastyczne powitanie, lecz akt samobójczy. To pokazuje różnicę.

Nie przestaję cenić Boya i mimo wszystko żywię do niego sympatię. Ale do jego bezkrytycznej wiary w postęp i idee wszelkiej emancypacji pozostaję z daleko idącą rezerwą. A na ten mój sceptycyzm dostarcza mi niezliczonych argumentów współczesny świat.

Z Antonim Liberą rozmawiał Mikołaj Rajkowski



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Dofinansowano
ze środków Ministra
Kultury i Dziedzictwa
Narodowego